

Zapach lipy

Niedługo po obronie pracy magisterskiej Tomasz przyjechał do Kargowej. Jeszcze w autobusie zdjął krawat uwierający go przez kołnierzyk nowej, białej koszuli. Zwisający na nim granatowy garnitur nijak nie pasował do szczupłej, nieco pochylonej postaci. Młodzieńcze ruchy zdradzały, że jest nienawykły do oficjalnego stroju, wymaganego na uroczystej obronie. Dyplom miał odebrać na uczelni za dwa tygodnie. Zaplanował ten czas na zasłużony odpoczynek po ciężkiej studenckiej pracy. Tak w ogóle to był plan na wielkie oblewanie dyplomów z towarzystwem z roku, ale terminy obrony poustawiano ludziom jakoś tak, że nie spotkali się jak było poumawiane. Niektórzy nie odbierali telefonów albo numery pozmieniaли. A może coś im wypadło.

Szedł obok ratusza przez plac pełen czerwcowych widoków. Ukłonił się znajomej urzędniczce, która zlustrowała jego postać od głowy po błyszczące pantofle. Nie zrobił na niej większego wrażenia poza zdziwieniem, że się tak jakoś odświeżnie wystroił w powszedni dzień. Przeszli obok siebie, nawet się nie uśmiechając. Koszono trawniki, rozsiewając wokół zapach świeżo ściętej trawy pomieszany ze spalinami silników kosiarek. Tomasza zawsze drażniło to prowincjonalne, banalne i uporządkowane otoczenie ratusza.

- Żeby choć trochę wielkomiejskiej fantazji wykazano przy urządzeniu tego placu - myślał sobie.

- Żeby fachowcy od gminnej zieleni wykazali choć trochę intelektualnego polotu. Ale nie. Tylko prosta trawa przepisowej wysokości i jakieś figury powycinane z krzaczków ligustru.

Lipy rosnące obok ratusza, z poskracanymi konarami, w tym roku zakwitły obficie i pachniało wokół miodem. Kiście kwiatów w jasnożółtym kolorze wystawały spomiędzy delikatnej zieleni lipowych liści kołysanych letnim wiatrem. Ten sam wiatr nosił po rynku słodkawy zapach lipowy docierający do wszystkich nozdrzy chodzących po nim dorosłych mieszkańców i dzieciaków jedzących lody na skwerze. Był wszechobecny. Nawet wpadał przez otwarte okna do ratusza i rozmarzał siedzące przy biurkach urzędniczki, zapominające o stosach papierów do załatwienia, sprawnie udające przed zwierzchnikami i petentami, że skupione pracują nad terminowymi sprawami. Zapach lipowych kwiatów zwabiał okoliczne pszczoły, gromadnie gnające w stronę miododajnych drzew. Liście uginały się pod ciężarem pszczoł obładowanych nektarem i pyłkiem pouczepianym na tylnych nóżkach. Pszczoły nikogo nie zaczepiały zajęte swoją radosną

pracą przy kwiatkach. Nikt też się od nich nie opędział. Panowała swoista symbioza, szanująca wzajemne obyczaje pszczół i ludzi. Zresztą, wesole brzęczenie, jakie wydawały, było takie uspokajające, dające sygnał o przyjaznych zamiarach. Zapewne najpierw najadały się słodyczą lipową, a dopiero później zbierały zapasy do swoich starych, drewnianych uli. W taki czas robiło się jakoś dostojnie na kargowskim rynku. Nad tym wszystkim unosił się duch dostatku, może tylko pszczelego, ale zawsze dostatku.

Tomasz nie lubił tego zapachu, i to nie dlatego, że był tak przejmujący i odurzający, ale dlatego, że był taki prowincjonalny, taki powszedni i pojawiający się dokładnie co roku, w tym samym czasie kończącej się wiosny. Zapach lipowy kojarzył mu się z małymi miasteczkami, tak licznie opisywanymi w obowiązkowych lekturach zadawanych całymi seriami przez uczelnianych profesorów i starannych asystentów. Ci ostatni byli do bólu skrupulatni w odpytywaniu z ich zatechłej treści. I ten Kochanowski z lipami, i Iwaszkiewicz w opowiadaniach, piszący o jakichś ścinanych, miodnych alejach prowadzących do starych dworów. To go jakoś nerwowo usposabiało do lip przed ratuszem, które nie dawały o sobie zapomnieć, szczególnie podczas kwitnienia ogłaszanego brzęczeniem pszczół.

Tomasz mało wylewnie pochwalił się w domu magisterskim sukcesem. Matka gratulowała mu łamiącym się głosem zupełnie świadoma, że coś się skończyło i jej synek to jest już ktoś inny i pewnie ważny. Przedtem miała w głowie same poplątane myśli o zakończeniu tych studiów. Nie wiedziała za bardzo, co on będzie robił po tej filologii polskiej na zielonogórskim uniwersytecie. Długo ją to męczyło wieczorami, ale teraz cieszyła się z synowskiego sukcesu, choć bardzo chciała popatrzeć na dyplom ładnie oprawiony w skórkę, z jej i zarazem Tomasza nazwiskiem. Przez myśli przeleciało jej te pięć lat, kiedy po cichu pożyczła od swojego brata pieniądze na dojazdy dla syna, gdy pod koniec miesiąca z jej renty już na wszystko brakowało. Ale była pełna przekonania, że trzeba kształcić Tomasza, bo inaczej to będzie jeszcze gorzej. A teraz jest już magistrem i pewnie będzie mu lepiej niż w jej samotnym, ciężkim życiu. Może pracę w szkole dostanie. Albo nawet w urzędzie.

W lipcu Tomasz przywiózł dyplom do domu. Był piękny, taki nowy i ślicznie wypisany, z okrągłą pieczęcią z orłem odcisniętą w narożniku zdjęcia jej syna. Teraz już łez nie mogła ukryć, choć niby przypadkiem wycierała chusteczką wilgoć pod oczami.

Na ten uroczysty obiad we dwoje przygotowała wielkie mielone kotlety wysmażone na gazowej kuchence, z ziemniaczkami posypanymi koperkiem z ogródka pod kuchennym oknem. Była też świeżutka sałata

prosto z grędy obsadzonej od niepamiętnych czasów cebulką na szczypior, sałatą i czerwonymi rzodkiewkami, po których teraz pozostało już tylko wspomnienie pierwszego wiosennego smaku nowalijek. Zjedli, mało rozmawiając. Matka tylko zapytała o pracę, do której Tomasz miał pójść od września. Miał to być obiecany etat w szkole w Babimoście. Tomasz coś opowiadał, że jeszcze raz musi tam pojechać na konkretną rozmowę pod koniec lipca i wszystko wyjaśnić z dyrektorem.

W czasie obiadu, w radiowych wiadomościach spiker czytał komunikaty rządowe o wzroście gospodarczym w kraju i otwieraniu nowych zakładów. Nigdy nie rozmawiali o tak zwanej polityce. W zasadzie to uważali, że cóż mogą z tym mieć wspólnego w małym mieście. Chodzili tylko na wybory do samorządu i to była ich cała polityka. Ważniejsze było podlewanie ogródka i nauka Tomasza, niż jakieś tam sprawy państwowe.

Pod koniec lipca Tomasz wybrał się do Babimostu porozmawiać o swojej pracy. Kiedy wrócił późnym popołudniem, matce powiedział tylko, że musi gdzie indziej poszukać roboty, bo tamten etat rozdzielono pomiędzy pracujących w szkole nauczycieli i nikogo jednak nie będą przejmować w tym roku.

Siedział w swoim pokoju, a w domu panowała cisza. Nawet nie słyszał odgłosów krzątania matki. Pomyślał, że wyszła na zakupy do spożywczego naprzeciw ratusza. Jednak po chwili dało się słyszeć jakieś delikatne szuranie w kuchni. Zajrzał przez drzwi i zobaczył siedzącą przed oknem matkę, patrzącą na ogródek. Zdało mu się, że miała jakąś smutną twarz.

W końcu Tomasz spotkał się na oblewaniu dyplomów z trzema kolegami, którzy dziwnie przycichli wyzbyci studenckiego zapału do rozrywek. Siedzieli przez dwie godziny w kawiarnianym ogródku i rozprawiali o bujnych planach zarobkowych. Jednak wszystko to opierało się na zamiarach wyjazdu gdzieś daleko. Padło słowo Dania. Magiczna Dania, Królestwo Danii, Danmark - powtarzali i ożywiali się filolodzy, wymawiając te słowa.

Okazało się, że jeden z kolegów miał odpowiedni kontakt w Danii, do pracy przy malowaniu mieszkań. Telefony poszły w ruch. Dzwoniono i płacono za długie zagraniczne rozmowy. Wreszcie cała trójka, na kolejnym spotkaniu w Zielonej Górze, postanowiła, że we wrześniu pojedą do pracy w Danii.

Tomasz powiedział matce na trzy dni przed wyjazdem o pracy zagranicznej, roztaczając wizje potężnych pieniędzy, jakie przywiezie do domu i nie będą już musieli biedować. Matka patrzyła na syna zmęczonymi oczami i mówiła, że może to i dobrze będzie, bo znajomy jej kuzyna

pracował w Anglii przez dwa lata i sporo zarobił podobno.

Plecaki mieli wypakowane, że ledwo podpinali paski. Jakoś przed dziesiątą wieczorem wsiedli w Zielonej Górze do autobusu z tabliczką Dania - Aarhus.

Tomasz rzadko dzwonił do matki, bo telefony z zagranicy były drogie. W domu nie było Internetu, z którym matka i tak się nie umiała obchodzić, więc kontaktowali się tylko poprzez krótkie telefoniczne rozmowy, które bardziej przypominały telegramy niż rodzinne pogawędki.

Życie matki zmieniło się teraz znacząco. Nie miała już komu gotować obiadów i robić kanapek na drogę, zawijanych w pergaminowy papier. Było zupełnie cicho w pokoju syna, nawet radio mało grało w kuchni. Zaczęła chodzić częściej do kościoła na wieczorne msze i nabożeństwa. Kupiła sobie trochę nowych bluzek i spódnic. W tych nowych strojach jakby odrobinę odmłodziła i wypoczęła. Twarz kobiety zrobiła się gładzsza od kremu, jaki poleciała sprzedawczyni w kosmetycznym sklepiku. Tylko myśli jej biegały gdzieś po jakichś obcych krajach widzianych w telewizji. I w żaden sposób nie mogła sobie wyobrazić tak konkretnie tej Danii, gdzie pracował przy malowaniu mieszkań jej Tomasz - magister.

Praca w Danii okazała się ciężka. Pracowali od szóstej do dwudziestej, z dłuższą przerwą na obiad. Owszem, płacono przyzwoicie i terminowo, ale wynajmowany pokój i jedzenie były drogie. W sumie zostawało im nie aż tak dużo. Po miesiącu koledzy znaleźli sobie inne prace w Kopenhadze i w pośpiechu wyjechali.

Tomasz został sam. Pracował dalej przy tym malowaniu. Nawet wprawił się w tej robocie i zamyślał w Polsce otworzyć zakład malarski, jeśli oczywiście się dorobi i wróci z czymś na początek.

Jesień w Danii przychodzi szybko i jest długa. Od morza wieje wtedy mokry wiatr i słońce pokazuje się tylko okazjonalnie.

Pracy miał teraz dużo mniej, ale płacono nadal przyzwoicie i można było dość swobodnie przeżyć. Tylko z odkładaniem było już gorzej. Czasu miał za to więcej i spacerował po mieście, oglądając wszechobecnych Duńczyków na rowerach, którzy pozostawiali je gdzie popadło, nie zamykając na żadne kłódki. W końcu też kupił sobie przechodzony rower i jeździł po odległych dzielnicach miasta i drózkach rowerowych na terenie ogromnego uniwersytetu. Nie mógł jednak zrozumieć zadowolenia Duńczyków z jazdy rowerami podczas deszczu, kiedy on trząsał się z zimna. Wtedy wsiadał do czystych autobusów, w których bilety były potwornie drogie, jak na jego zarobki.

Zima bez śniegu przeszła monotennie, zabierając mu czas na pracy i spacerach po Aarhus. Z Duńczykami rozmawiał tylko po angielsku, bo znał

jedynie trochę duńskich słów, których i tak nie wymawiał zbyt prawidłowo. Od razu go rozpoznawano, że jest obcym. Co prawda, nikt mu z tego powodu wyrzutów nie robił, ale on czuł się w takich momentach jakoś nieswojo. Nie miał stałego towarzystwa, nie było z kim porządnie porozmawiać. Polaków spotykał teraz częściej, ale to byli jacyś trochę dziwni kolesie, opowiadający o wielkiej forsie w zasięgu ręki, do której - jak się okazywało - nigdy nie dochodzili, a te posady gdzieś ich omijały i wracali do malowania mieszkań za niewielkie pieniądze. Później o tych fortunach już nie opowiadali Tomaszowi. W sumie był samotny w tej Danii.

Duńska wiosna rozwija się wolno. Mżawki dokuczały i tępiły wszelkie radosne myśli Tomasza. Tylko zadowoleni z każdej pogody Duńczycy wciąż zadziwiali go swoimi pogodnymi twarzami.

- Chyba nigdy nie widzieli prawdziwej wiosny - myślał Tomasz, przeganiając ze świadomości natrętne wspomnienie rozświetlonych słońcem łąk, które widywał z okiem autobusu, jeżdżąc codziennie na swoje filologiczne studia.

Pogoda trochę się poprawiła i rower wrócił do łask Tomasza. Teraz w wolne dni przejeżdżał nie tylko całe trasy rowerowe prowadzące wzdłuż brzegów morza, ale też zapuszczał się w zakamarki starych dzielnic Aarhus. Czerwiec kończył się na dobre, żegnając Duńczyków przeblaskami skandynawskiego słońca. W niektóre dni bywało nawet ciepło. Oczywiście jak na duńskie warunki. Tomasz odkrył stare uliczki i zapuszczał się w nie na całe godziny. Nawet bywało, że zmrok go wyganiał z tych rowerowych eskapad, przypominając o porannym wstawaniu, prędkim śniadaniu i jeździe do kolejnego budynku do wymalowania.

Tego czerwcowego popołudnia było prawie dwadzieścia stopni. Tomasz odzwałował kilkadziesiąt duńskich koron i pojechał do starej dzielnicy autobusem, aby pospacerować w wiosennym nastroju. Uliczka, na którą przypadkiem zawędrował, wydała mu się jakoś znajoma. Nigdy tu nie był, a jednak była mu jakaś bliska. Wąska, wybrukowana kostką granitową, z małymi domami, których dachy sięgały parterowych okien. Facjaty były malowane pastelowymi kolorami. Każdy inny, a jednak tworzyły znakomitą harmonię barw, która uspokajała i nie pozwalała nawet zastanawiać się nad opisaniem poszczególnych kolorów. Nazywanie ich było zupełnie zbędne. One były takie właściwe, takie naturalne, takie jak powinny być. Czuło się w nich jakiś geniusz przypadku. Bo oczywiście nikt tego nie reżyserował, nie ustalał, nie projektował. Tomasz stał i patrzył na domy i maleńkie ogródki przed nimi wypełnione kwiatami. A kwiaty były zupełnie proste, niewyszukane. Malwy i pelargonie rosły tuż pod oknami z białymi ramami i

zielonymi okiennicami. Rosły przy niskich schodkach prowadzących do domów zamkniętych starymi drzwiami z wprawionymi fasetowymi szkiełkami. Bratki cisnęły się pod ścianami. Był też gdzieś bluszcz pnący się obok wejścia po rynnie, aż pod dachówki, których można było dosięgnąć, nie wspinając się na palce. Na dodatek jeszcze doniczki ustawiano z boku niziutkich stopni. Ta uliczka była w tak wielkim estetycznym porządku, jaki mu się przypomniawszy ze studenckiej wycieczki do Pragi, gdzie też stanął jak wryty na początku Złotej Uliczki. Ale tu go ujęło coś jeszcze innego, coś bliskiego. Coś, czego nie mógł jeszcze zrozumieć, zapisać w myślach. Może nawet bał się przypomnieć. Stał naprzeciw słońca i tych kolorowych domków, oszołomiony zachodem, widokiem kolorowej architektury i roślin nasadzonych między brukiem a domami, i tych wyodrębnionych z całości w doniczkach. W tym krajobrazie było też kilka rowerów, jakoś naturalnie stojących, jakby od zawsze, przed wejściami. Pomyślał, że one też tu wyrosły z tych skrawków niezabrukowanej ziemi. Zauważył kilka starych drzew rzucających cienie na okna, okiennice i bruki. Wreszcie dotarło do niego, co go ujęło poza kolorami nałożonymi na ściany i odwiecznym spokojem tego miejsca. To był zapach sączący się nie tyle do nozdrzy, co do jego świadomości. Zapach był mu znajomy. Zapach, którego bał się nazwać bliskim. To był zapach kwitnących lip. Jakby inny od tego z kargowskiego rynku. Ale bliski i już nie taki prowincjonalny. Zapach, do którego bał się tęsknić. A jednak chyba tęsknił. Na pewno tęsknił i z pokorą przyznawał się przed sobą do tego faktu.

Coś w nim zadrżało, w głębokim wnętrzu. Coś poukładało się od nowa. Teraz zapach lipowego kwiatu był wspomnieniem ciepłego dzieciństwa, czerwcowych, pospiesznych marszów na przystanek autobusowy, już nie w prowincjonalnym miasteczku, ale w jego rodzinnym mieście.

Po tym spacerze Tomasz uświadomił własnemu umysłowi, że tęskni za domem, matką i tymi lipami na ryneczku w Kargowej, i nawet za ich zapachem.

- Przecież to takie moje - pomyślał i chyba zrozumiał, że nie musi szukać czegoś lepszego od swojego miasteczka, tak podobnego miejscami i zapachami do duńskiej metropolii, która była jakoś dumna z tego zapachu.

Tomasz wrócił w sierpniu do Polski. Pieniądzy za wiele nie przywiózł, ale w jego świadomości wiele się odmieniło, coś posortowało. Może trochę wydorósł.

Matka przygotowała na powitanie syna przyjeżdżającego z zagranicy wielkie kolety mielone, na widok których Tomasz wyraźnie się ucieszył i chwalił ich zapach i ostre przyprawienie.

W październiku znalazł się dla niego etat w zbiorczej szkole pobliskiej gminy. Zaczął jako polonista na stażu, za najniższą nauczycielską pensję.

Mofir

PAGE

PAGE 1